

Ppełna napięcia powieść wielokrotnie nagradzanej autorki
The Haunting of Maddy Clare – Simone St. James.

Złamane dusze to połączenie przyprawiającej o ciarki na plecach opowieści o zjawiskach nadprzyrodzonych i trzymającego w napięciu thrillera. To również historia o niezachwianej przyjaźni, problemach rodzicielskich, obsesjach i seksizmie wpleciona w ciekawą fabułę obejmującą dwie epoki.

Associated Press

Złamane dusze to inteligentna i przyjemnie mrożąca krew w żyłach książka. Ta niezwykle nowoczesna historia o duchach nie pozwoliła mi zasnąć do późnych godzin nocnych.

Fiona Barton, autorka *The Widow* i *The Child*,
bestsellerów „New York Timesa”

Straszna, niepokojąca, wciągająca. To świetnie napisana, współczesna gotycka opowieść o zmaganiach z naszymi najmroczniejszymi lękami.

Tessa Harris, autorka *The Anatomist's Apprentice*

Przyprawiająca o gęsią skórę opowieść o niepokojącej sile tego, co ukryte przed wzrokiem.

„Publishers Weekly”

Tytuł oryginału

The Broken Girls

Copyright © 2018 by Simone St. James

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

Oświęcim 2018

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Anna Wasińska

Korekta:

Dariusz Marszałek

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Dystrybucja: ATENEUM www.ateneum.net.pl

Numer ISBN: 978-83-7889-781-1

SIMONE ST. JAMES

**ZŁAMANE
DUSZE**

**TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA**

OŚWIĘCIM 2018

Dedykuję tę książkę mojej mamie, największej bohaterce mego życia.

Kocham cię, Mamo.

prolog

Barrons, Vermont

Listopad 1950 r.

Gdy dziewczynka wbiegła na wzniesienie na Old Barrons Road, słońce zniknęło za horyzontem. Była noc, a ona nadal miała do pokonania pięć kilometrów.

O zmroku powietrze robiło się tu chłodne, a fioletowawe światło zamazywało szczegóły otoczenia, jakby zasnuwał je jakiś dym. Bryza mierzwiła jej włosy, wciskała się pod kołnierz. Mrużąc oczy, zerknęła do tyłu na stromy fragment jezdni, na który właśnie się wspięła, lecz nikt za nią nie podążał.

Ale i tak rzuciła w duchu: *Szybciej.*

Pobiegła w dół, spod jej topornych szkolnych trzewików wystrzeliwały kamyczki, spadające na dziurawą drogę, jej długie nogi trzęsły się jak u próbującego złapać równowagę źrebaka. Wyrośla już z wełnianej spódniczki, którą miała na sobie – nie sięgała już nawet kolan – ale z tym nic nie dało się zrobić. Spódnicę od mundurku niosła w objijającej jej nogi walizce. Wkrótce znowu ją włoży.

Jeżeli będę miała szczęście.

Przestań, głupia. Przestań.

Szybciej.

Trzymające uchwyt walizki dłonie były mokre. Prawie ją upuściła, gdy się z nią siłowała, pośpiesznie wysiadając z autobusu, a kiedy taksowała wzrokiem szyby pojazdu, na jej plecach i pod pachami pojawiły się kropelki potu.

Wszystko w porządku? – zapytał kierowca, gdyż panika na twarzy nastolatki przebiła jego obojętność.

Tak, tak... – Obdarzyła go bladym uśmiechem, pomachała i odwróciła się, by czym prędzej odejść z uderzającą o kolana walizką, jakby wkraczała na zatłoczoną ulicę dużego miasta, a nie zbierała się do powolnego marszu przez splekany pas betonu, nazywany po prostu North Road. Obejrzała się za siebie, gdy trzasnęły drzwi, i drugi raz, kiedy autobus odjechał. Cienie powoli się wydłużały.

Nikt inny nie wysiadł. Dało się słyszeć tylko szuranie jej butów i odległe krakanie kruka. Została sama.

Nikt za nią nie szedł.

Na razie.

Zdyszana, dotarła na dół stromego odcinka jezdni. Zmuszała się, by nie patrzeć w tył. Nie chciała tego kusić. Jeżeli się nie obejrzy, będzie trzymało się z dala.

Ponownie zawiął zimny wiatr, zmroził jej pot na lód. Skuliła się, zmusiła ciało do większego wysiłku. Jeżeli przetnie linię drzew, wejdzie na skośną ścieżkę wiodącą wprost na boisko, gdzie, na trasie do internatu, może spotka jakichś ludzi. To krótsza droga niż obecna, która okrążyła las i prowadziła do frontowej bramy Idlewild Hall. Ale oznaczało to zejście z jezdni, marsz pośród drzew, w ciemności. Mogła się zgubić. Nie wiedziała, jaką podjąć decyzję.

Serce zatrzepotało jej w piersi, po czym znowu zaczęło szybko walić. Wysilek zawsze wywoływał u niej taką reakcję, strach również. Toksyczna mikstura obu sprawiła, że zakręciło się jej w głowie, przez chwilę nie potrafiła zebrać myśli. Z jej ciałem nadal coś było nie w porządku. Miała już piętnaście lat, a jej pier-

si wciąż były małe. Krwawic zaczęła dopiero w zeszłym roku. Lekarz ostrzegął, że może wystąpić opóźnienie, jak najbardziej normalne, zwykłe biologiczne następstwo niedożywienia. *Jesteś młoda i wrócisz do zdrowia*, powiedział, *ale to było prawdziwie piekło dla ciała*. Ostatnia fraza diagnozy doktora odbiła się echem w jej głowie, wytrącając z gmatwaniny innych myśli. *Piekło dla ciała*. To było nawet mrocznie zabawne. Kiedy po wszystkim dalecy krewni przyglądali się jej badawczo i zapytali, co powiedział pan doktor, odparła ni z tego, ni z owego: *Powiedział, że to piekło dla ciała*. Widząc ich skonsternowane spojrzenia, chciała dodać coś pocieszającego: *Przynajmniej zostały mi wszystkie zęby*. Wtedy odwrócili wzrok. Ach, ci Amerykanie, nierozumiejący, jakie to osiągnięcie zachować wszystkie zęby. Potem nic już nie mówiła.

Coraz bliżej do głównej bramy Idlewild Hall. Jej wspomnienia krążyły kapryśnymi ścieżkami. Zapomniała imiona połowy koleżanek z klasy, z którymi przecież mieszkała, pamiętała za to ilustrację na wewnętrznej stronie okładki starego egzemplarza *Blackie's Girls' Annual*, znalezionej na półce w internacie: była na niej dziewczynka w sukience z lat dwudziestych, z typowo obniżonym stanem, która spacerowała po wzgórzu z dokazującym pieskiem, zasłaniała dłonią oczy przed słońcem, a w jej włosach igrał wiatr. Gapiła się na tę ilustrację tak często, że w końcu zaczęła jej się śnić, więc nawet teraz pamiętała ją co do najkrótszej kreski. Po części zafascynowały ją niewinność obrazka oraz młecznobiała skóra namalowanej dziewczynki, która mogła wyprowadzać psa, nie martwiąc się żadnymi lekarzami, zębami, podrażnieniami, strupami ani innymi sprawami, które zakopywała głęboko w umyśle, sprawami, które nagle wyskakiwały na powierzchnię, by potem znowu zniknąć w mroku.

Nie słyszała nic za plecami, ale wiedziała, ot tak, po prostu wiedziała. Obok świstu wiatru w uszach, obok odgłosów jej stóp pojawił się jakiś pomruk, szepc, do którego musiała być dostrojona, bo gdy tym razem, pomimo protestu strzelających kości szyi,

odwróciła głowę, zobaczyła tę postać. Pojawiła się na wzniesieniu, z którego sama przed chwilą zeszła, i zaczęła opadać ku niej w dół drogi.

Nie. Tylko ja wysiadłam z autobusu. Nie było nikogo więcej.

Ale przecież wiedziała, prawda? Oczywiście, że tak. Właśnie dlatego zamiast iść niemal biegła, przez ziąb traciła czucie w kostkach i brodzie. Przeszła do truchtu, prawie upuściła obłukującą jej nogi walizkę. Zamrugowała gwałtownie, wpatrując się w zapadającą ciemność, próbowała dostrzec kształty i charakterystyczne punkty okolicy. Ile już uszła? Uda się?

Ponownie spojrzała za siebie. Przez mgłę mroku dostrzegła długą czarną spódnicę, wąską talię i wątle ramiona, zwiewny czarny woal, który zasłaniał twarz i kołysał się na wietrze. Pod rąbkami spódnicy poruszały się niewidoczne stopy. Dojrzała szczegóły, bo postać się zbliżyła – szła spokojnie, a jednak, za każdym razem, gdy dziewczynka spoglądała za plecy, była coraz bliżej. Pomimo zakrytego oblicza kobiety wiedziała, że jest obserwowana, że wbija się w nią nieruchomy wzrok.

Spanikowana, gwałtownie zmieniła kierunek, zeszła z drogi i zanurzyła się w las. Nie było tam wydeptanej ścieżki, przedierała się więc powoli przez gęste zarośla, wyschnięte łodygi traw kasały jej nogi przez podkolanówki. Już po chwili zostawiona za plecami droga znikła jej z oczu, musiała więc zdać się na intuicję – w nadziei, że zmierza prosto na boisko. Poszycie coraz bardziej ją spowalniało, kropelki potu spływały pomiędzy łopatkami i wsiąkały w tanią bawełnianą bluzeczkę, która przykleiła się do pleców. Walizka była nieporęczna i ciężka, więc wkrótce ją porzuciła, żeby jak najprędzej wydostać się z lasu. Wokół panowała cisza, przerywana tylko jej ochrypłym oddechem.

Skręciła kostkę, jej nogę przeszył ostry ból, ale nadal biegła. Włosy wyrywały się spod wsuwek, gałęzie raniły dłoń, gdy się przez nie przedierała, ale nadal biegła. Miała przed sobą stare

ogrodzenie Idlewild, spróchniałe i zniszczone, łatwe do pokonania. Zza jej pleców nie dochodził żaden dźwięk. Aż nagle...

Mary Hand nieżywa, ziemia już ją skrywa...

Szybciej, szybciej. Nie pozwól się jej dogonić.

Przyjaciółką cię nazywa...

Las zaczął rzednąć, zobaczyła przed sobą boisko, oświetlone perlistym światłem księżyca.

Nie pozwól jej wejść!

Płuca dziewczynki płonęły, z jej gardła wyrwał się szloch. Nie była gotowa. *Nie była.* Pomimo wszystkiego, co zaszło – a może właśnie przez to. Serce nadal pompowało krew, jej wyniszczone ciało wciąż parło ku ocaleniu. Z posępną przejrzyistością zrozumiała, że to wszystko na nic.

Od zawsze wiedziała, że potwory naprawdę istnieją.

I oto one.

Dziewczynka spojrzała w mrok i zaczęła krzyczeć.

rozdział 1

Barrons, Vermont

Listopad 2014 r.

Jazgot komórki poderwał odpływającą w sen Fionę. Pochyliła się gwałtownie do przodu, złapała mocno kierownicę i wlepiła wzrok w ciemność za przednią szybą.

Zamrugła, skupiła uwagę. Naprawdę zasnęła? Pamiętała, że zaparkowała na żwirowej zatoczce przy Old Barrons Road, by posiedzieć trochę w niczym niezmaconej ciszy i pomyśleć. Musiała odpłynąć.

Telefon zadzwonił ponownie. Przetarła oczy i spojrzała na leżącą na fotelu pasażera komórkę. Wyświetlacz świecił w mroku. Zobaczyła imię „Jamie” i godzinę. Trzecia nad ranem. Deb kończyłaby dzisiaj czterdziestkę, gdyby tylko żyła.

Podniosła telefon i odebrała.

– Jamie.

Usłyszała jego zachrypnięty, zaspany i oskarżycielski głos.

– Obudziłem się, a ciebie nie ma.

– Nie mogłam spać.

– Więc po prostu wyszłaś? Na miłość boską, Fee! Gdzie jesteś?

Otworzyła drzwi samochodu i wystawiła nogi na zimne powietrze. Złościł się, ale nic na to nie mogła poradzić.

– Przy Old Barrons Road. Zaparkowałam w zatoczce, u podnóża wzgórza.

Przez chwilę nic nie mówił. Wiedziała, że liczy dni. Urodziny Deb.

– Fee...

– Chciałam po prostu pojechać do domu. Naprawdę.

Wysiadła z samochodu. Gdy stanęła prosto, jej ścierpięte nogi prawie się zbuntowały, a zimne powietrze wymierzyło jej w twarz otrzeźwiający policzek i zmierzwiło włosy. Podeszła na skraj jezdni, spojrzała w prawo i w lewo, po czym wcisnęła wolną dłoń do kieszeni kurtki. Patrząc w stronę, z której przyjechała, zobaczyła znak informujący, że do Burlington jeszcze niemal pięćdziesiąt kilometrów, a także wyblakłe światła całodobowej stacji benzynowej na szczycie wzgórza. Wiedziała, że za wzniesieniem jest niewidoczne dla niej teraz skrzyżowanie z North Road, a przy nim ciąg fast foodów, kolejnych stacji benzynowych i kilka przyjaźnie rozświetlonych hipermarketów. W przeciwnym kierunku, ku któremu była skierowana maska jej samochodu, ciągnął się tylko mrok, jak gdyby Old Barrons Road spadała z krawędzi Ziemi w otchłań.

– Nie musiałaś jechać do domu – powiedział Jamie.

– Wiem – odparła. – Ale nie mogłam zasnąć, a nie chciałam cię budzić. Więc wyszłam, wsiadłam do samochodu i po prostu ruszyłam, dopiero później zaczęłam myśleć.

Westchnął ciężko. Potrafiła sobie wyobrazić, jak leży na poduszkach w starym t-shircie i bokserkach oraz przeciera ze zmęczenia oczy, napinając mięśnie przedramienia. O wpół do siódmej zaczynał zmiąnąć; naprawdę robiła wszystko, żeby go nie obudzić.

– O czym myśleć?

– Zaczęłam się zastanawiać, jaki jest ruch na Old Barrons Road w środku nocy. Wiesz, gdyby ktoś zaparkował tu samochód i go zostawił, to po jakim czasie jacyś przejeżdżający ludzie by to zauważyli. Policja zawsze mówiła, że niemożliwe, by Tim Christopher zostawił auto na tak długo i nikt tego nie widział. Ale tak naprawdę nigdy tego nie sprawdzili, prawda?

I oto jest – wykrakany: szpetny demon wylał na powierzchnię. Sprawy, które tak skutecznie trzymała głęboko zakopane. Zbliżały się urodziny Deb i ta myśl od wielu dni nie dawała jej spokoju. Starła się nic nie mówić, ale tej nocy, kiedy leżała, nie mogąc zasnąć, myśli nie pozwoliły się okiełznać.

– To niezdrowe – skomentował Jamie. – I masz tego świadomość. Wiem, że dużo myślisz o siostrze. Wiem, że nosisz żałobę. Ale żeby jechać do Idlewild? Przeginasz, Fee.

– Wiem – odrzekła. – Wiem, że już to przerabialiśmy. Pamiętam, co mówi mój terapeuta. Wiem, że minęło dwadzieścia lat. Przysięgam, że próbuję pozbyć się tej obsesji. Po prostu mnie wysłuchaj, dobrze? – Starła się, by jej ton nie zabrzmiał błagalnie, ale się nie udało.

– Okej – zgodził się. – Dawaj.

Przełknęła ślinę.

– Przyjechałam i zaparkowałam przy drodze. Siedziałam tu... – sprawdziła godzinę – trzydzieści minut. *Trzydzieści minut*, Jamie. Nie przejechał ani jeden samochód. Zero. – Obliczyła, że spędziła tam czterdzieści pięć minut, ale na kwadrans zasnęła, więc to się nie liczyło. – Mógł tutaj zaparkować i to zrobić. Przez las na boisko w Idlewild Hall jest tylko dziesięć minut. Miałby masę czasu.

Usłyszała w głośniku oddech Jamiego. Byli razem już od roku – czasami nadal nie mogła w to uwierzyć – i miał na tyle oleju w głowie, by nie rzucać oklepanych frazesów w stylu: *To już bez znaczenia. Nie przywróci jej to życia. Przecież on siedzi już w więzieniu. Minęło dwadzieścia lat, musisz zostawić to za sobą.* Zamiast tego rzekł:

– W 1994 roku Old Barrons Road wyglądała inaczej. Po wschodniej stronie drogi otwarte jeszcze było kino samochodowe. W latach dziewięćdziesiątych już cienko przędli, ale dzieciaki lubiły tam imprezować, zwłaszcza w okolicach Halloween.

Fiona stłumiła pęczniejące w gardle słowa protestu. Jamie miał rację. Obróciła się i spojrzała w ciemność po drugiej stronie drogi, tam, gdzie kiedyś był parking i kino samochodowe, a teraz widziała jedynie opuszczoną działkę. Wielki ekran zdjęto dawno temu, załuszczone stanowisko z maszyną do popcornu zniszczono, pozostał tylko zarastający chwastami plac pośród drzew. Pamiętała, że w dzieciństwie wraz z Deb błagały rodziców, żeby je tam zabierali, gdyż zgodnie z dziecięcą logiką spodziewały się po kinie wszelkich wspaniałości i wielkich uniesień. Szybko się przekonała, że błagając z siostrą na darmo. Dla jej rodziców-intelektualistów wycieczka do kina samochodowego na drugą część *Gliniarza z Beverly Hills* była równie prawdopodobna jak lot na Księżyc. Starsza i mądrzejsza o trzy lata Deb na widok rozczarowania siostry wzruszała tylko ramionami. *A czego się spodziewałaś?*

– W listopadowy czwartek w kinie raczej nie byłoby zbyt wielu dzieciaków – stwierdziła.

– Ale jakies *były* – powiedział Jamie z prostą logiką człowieka, którego życie nie zostało rozniesione w drobny mak. – I żadne nie pamiętało samochodu Chirstophera. Przecież w śledztwie to sprawdzono.

Fiona poczuła zmęczenie pod powiekami, skontrowane jednak uderzeniem chaotycznej energii, która nie pozwalała jej stać w bezruchu. Odwróciła się i zaczęła oddalać od wzgórza oraz świateł stacji benzynowej w stronę mroku przed maską jej auta, po drugiej stronie drogi.

– Oczywiście, że myślisz, że w śledztwie wszystkim się zajęli – rzuciła ostrzej, niż zamierzała. – Jesteś gliną. Musisz w to wierzyć. W twoim świecie, kiedy dziewczyna zostaje zamordowana, zjeżdżają się najmądrzejsze umysły całego Vermont, rozwiązują zagadkę i wsadzają złoczyńcę za kratki.

Żwir pobocza chrzęścił pod jej butami, wiatr przenikał przez dżinsy. Gdy zadrżała z zimna, a lodowate igiełki przebiły się przez wszystkie warstwy odzieży, postawiła kołnierz kurtki.

Jamie nie dał się sprowokować jej tonem, była to jedna z jego cech, która zawsze doprowadzała ją do szału.

– Fiona, ale ja *wiem*, że wszystkim się zajęli, bo przejrzałem akta. I to nie raz. Wbrew wszelkim zasadom i przepisom, o czym świetnie wiesz. Wszystko tam jest, czarno na białym.

– Bo to nie była twoja siostra – prychnęła Fiona.

Milczał przez moment, z tym nie mógł się spierać.

– Tim Christopher został oskarżony – powiedział cierpliwie. – Został osądzony i skazany za morderstwo Deb. Ostatnie dwadzieścia lat spędził w więzieniu o zaostrzonym rygorze. A ty i tak kręcisz się po Old Barrons Road o trzeciej nad ranem, Fee.

Im dalej odchodziła, tym robiło się ciemniej. I zimniej. Trafiła w jakąś dziwną bańkę powietrza, w której jeszcze mocniej się skuliła i przestała czuć czubek nosa.

– Muszę się dowiedzieć, jak to zrobił – odparła.

W 1994 roku jej dwudziestoletnia siostra została uduszona i porzucona na środku starego boiska, na opuszczonym terenie Idlewild Hall. Leżała na boku, miała podkurczone kolana i otwarte oczy. Jej koszulka i stanik zostały rozerwane, tkanina i elastyczne paski były w strzępach. Po raz ostatni widziano ją w odległym o pięćdziesiąt kilometrów internacie. Jej chłopak, Tim Christopher, spędził za to dwadzieścia lat w więzieniu. Twierdził, że jest niewinny, i nadal się nie przyznał.

Fiona miała wtedy siedemnaście lat. Nie lubiła myśleć o tym, jak morderstwo rozbiło jej rodzinę, jak wpłynęło na jej życie. Łatwiej przychodziło wystawanie na poboczu drogi i obsesyjne zastanawianie się, w jaki sposób Christopher podrzucił ciało jej siostry na boisko – nigdy w pełni tego nie wyjaśniono – skoro ani tam, ani w lesie nie znaleziono odcisków butów, a na poboczu śladów po oponach. Posesja Idlewild była otoczona płotem, tyle że bardzo starym i w większej części zniszczonym, mógł więc bez problemu przenieść ciało przez jedną z dziur. Zakładając, że naprawdę szedł tą trasą.

Jamie miał rację. Niech diabli wezmą jego i jego policyjny umysł, z którym jej rozum dziennikarki wikłał się w nieustanne spory. Ten szczegół nie dawał jej spokoju, bez przerwy jątrzył rany, podczas gdy wszyscy inni zabandażowali swoje i odkuśtykali do własnych spraw. Powinna złapać jakieś kule – świetnie nadałby się na przykład alkohol albo narkotyki – i kuśtykać sobie rażno razem z nimi. A jednak stała tam i drżąc z zimna, wpatrywała się w las, myśląc: *Jak, do cholery, przeniósł ją tędy, nie zostawiając śladów stóp?*

Nadal trzymała telefon przy uchu. Słyszała, że Jamie czeka, aż coś powie.

– Oceniasz mnie – rzekła w końcu.

– Wcale nie – zaprotestował.

– Poznają po twoim oddechu.

– Poważnie?

– Ja...

Usłyszała za plecami czyjeś kroki, zamarła.

– Fiona? – zaniepokoił się Jamie, jak gdyby też dosłyszał je przez telefon.

– Ciii... – uciszyła go odruchowo.

Stała w bezruchu i nadstawiła uszu. Otaczała ją niemal całkowita ciemność. Idlewild Hall, szkoła z internatem dla dziewcząt, zostało zamknięte i opuszczone w 1979 roku, na długo przed śmiercią Deb. Bramy były zatrzaśnięte na kłódki, a teren stopniowo zarastał. Przy końcu drogi, obok wjazdu do niegdysiejszej szkoły, nie paliły się żadne światła. Nic, tylko wiatr w konarach drzew.

Cała spięta, odwróciła się powoli na pięcie. Odgłos był wyraźny, stopy szurające o żwir. Jeżeli to jakiś wyłażący z lasu zboczeniec, to nie miała przy sobie nic do obrony. Mogłaby jedynie krzyknąć do Jamiego i liczyć na cud.

Wbiła wzrok w mroczną ciszę, widziała ostatnie listki, szeszczące na czarnych jak smoła gałęziach.

– Co się dzieje, kurwa? – warknął Jamie.

Przeklinał tylko wtedy, gdy był poważnie zaniepokojony.

– Ciii... – powtórzyła. – Nic. Nikt. Coś mi się przesłyszało.

– Czy naprawdę muszę ci mówić, żebyś się zwijała z tej pograżonej w nocy, opuszczonej drogi?

– Przeszło ci kiedyś przez myśl, że w Old Barrons Road jest coś niepokojącego? – zapytała. – To znaczy: łąziłeś tu w ogóle kiedyś? Trochę tu tajemniczo. Jakby coś tu było...

– Mam dosyć – przerwał jej. – Wracaj do samochodu i jedź do domu albo po ciebie przyjadę.

– No już, już.

Czuła mrowienie w dłoniach, nawet w tej niemal przymarzonej do telefonu, a jednak jej kręgosłup przeszła fala adrenalin. *To był odgłos kroków. Prawdziwy.* Drzewa zasłaniały wzgórze i nagle zataęskniła za kojącym światłem jarzeniówek stacji benzynowej. Postawiła krok, gdy wtem coś zrozumiała. Staęła, ponownie się odwróciła i szybko ruszyła ku bramie Idlewild Hall.

– Mam nadzieję, że ten dźwięk to twoje kroki w stronę auta – powiedział Jamie poważnie.

– Jest tam znak – odrzekła Fiona. – Widziałam. Na bramie. Wcześniej go nie było. – Podeszła na tyle, by dojrzeć w ciemności litery. KOLEJNY PROJEKT MACMILLAN CONSTRUCTION, LTD. – Jamie, dlaczego tu jest znak, według którego w Idlewild Hall trwa jakaś budowa?

– Bo trwa – odparł. – A raczej rusza za tydzień. Majątek został sprzedany dwa lata temu i właśnie przejmuje go nowy właściciel. Z tego, co słyszałem, odrestaurowują posiadłość.

– Odrestaurowują? – Fiona zamrugęła, próbując to przetrawić. – I co niby tu zrobią?

– Nową szkołę – wyjaśnił. – Naprawią budynek i otworzą kolejną szkołę z internatem.

– Co takiego?

– Nie chciałem ci o tym mówić, Fee. Wiedziałem, ile to miejsce dla ciebie znaczy.

Fiona zrobiła krok w tył, nie odrywała wzroku od znaku. *Odrestaurują*. Na boisku, na którym leżało ciało Deb, miały znowu grać dziewczęta. Postawią nowe budynki, zburzą stare, wyleją beton, może poszerzą drogę. Cały nienaruszony od dwudziestu lat krajobraz, krajobraz, który znała tak dobrze – krajobraz śmierci jej siostry – zniknie.

– Cholera – zakłęta do telefonu, odchodząc w kierunku auta. – Zadzwonię do ciebie jutro. Wracam do domu.

rozdział 2

Katie

Barrons, Vermont

Październik 1950 r.

Gdy Katie Winthrop zobaczyła Idlewild Hall po raz pierwszy, prawie się rozplakała. Siedziała na tylnym siedzeniu chevroleta ojca i zerkała pomiędzy odzianym w szary garnitur ramieniem taty a ubranym w krepę barkiem mamy. Kiedy na końcu Old Barrons Road zamajaczyły wielkie czarne wrota, poczuła cisnące się do oczu łzy.

Wrota stały otworem, szybko miała się przekonać, że to rzadkość. Tata w milczeniu przejechał przez bramę i długi ubity podjazd, a ona gapiała się na wyrastający przed nimi budynek: wysoki na trzy piętra główny gmach, ciągnący się w nieskończoność w obie strony, ze strzelistymi oknami przypominającymi rząd zębów. Jednolitą fasadę przełamывał jedynie wskazujący frontowe wejście portyk. Był sierpień, powietrze gęste i gorące, aż ugięło się pod ciężarem nadchodzącego deszczu. Gdy podjeżdżali, mogło się zdawać, że oto zmierzają w paszczę tego gmaszyska. Katie przełknęła ślinę, siedziała prosto i nieruchomo, a budynek rósł i rósł, coraz szczelniej wypełniając przednią szybę.

Tata zatrzymał samochód, przez chwilę dało się słyszeć jedynie tykanie silnika. Idlewild Hall spowijał mrok, ani śladu życia.

Katie spojrzała na matkę, ale ta miała odwróconą głowę i błędnym wzrokiem spoglądała za szybę pasażera. Choć Katie przysunęła twarz tak bardzo, że dokładnie widziała nałożony przez mamę na policzki małym pędzelkiem makijaż, to nie usłyszała od niej ni słowa.

Nagle zapragnęła powiedzieć: *Przepraszam. Proszę, nie każcie mi tu zostawać. Nie dam rady, tak bardzo was przepraszam...*

– Wyjmę twój bagaż – oświadczył ojciec.

Od tego dnia minęły dwa lata. Katie zdążyła przywyknąć do Idlewild – długich starych korytarzy pachnących pleśnią i dziewczęcym potem, okien, które zimą przepuszczały przez szczeliny przy framugach lodowate powietrze, wilgotnej woni przypominającej zapach kompostu, o każdej porze roku unoszącej się nad zielonym boiskiem, niezmienionych od otwarcia szkoły w 1919 roku mundurków.

Katie należała do dziewczynek, którym koleżanki szybko się podporządkowują: była władczą, nieco agresywną i odważną ciemnowłosą pięknoscią. Może nie należała do „popularnych”, ale pięści musiała używać tylko dwukrotnie, za każdym razem gładko zwyciężając. Wiedziała, że solidny lewy prosty to klucz do sukcesu, a ze swojego korzystała bez cienia litości. Przetrvanie w pełnej wyrzutków szkole z internatem to nie bułka z masłem, lecz po przełknięciu pierwszych łez Katie stała się mistrzynią przeżycia.

Rodziców widywała dwa razy do roku, w lecie i na Boże Narodzenie, i już nigdy ich nie przepraszala.

W Clayton Hall, jej internacie, w każdym pokoju mieszkały po cztery dziewczynki. Nigdy nie wiedziałeś, na kogo trafisz. Jedną z pierwszych współlokatorek Katie, dziewczyna z New Hampshire, ze strakami na głowie, która zapewniała, że pochodzi w prostej linii od prawdziwej czarownicy z Salem, miała zwyczaj niezmordowanego nucenia pod nosem, gdy zanurzała się w podręczniku do łaciny. Obgryzała przy tym paznokcie kciuka

z takim zapamiętaniem, że Katie uznała ją za materiał na przyszłą morderczynię. Kiedy czarownica z Salem wyjechała, zastąpiła ją długonoga dziewczyna ze sprężystymi włosami, której imienia nigdy nie mogła zapamiętać i która przez większość nocy kulila się na pryczy, cicho łkając w poduszkę. Do czasu aż Charlotte Kankle, wielka i zawsze wściekła, zrzuciła ją z łóżka, sycząc: *Przestań ryczeć, na miłość boską, bo dziewczuchy cię przytrzymają, a ja rozkwaseę ci nos*. Żadna z pozostałych lokatorek nie zaprzeczyła. Po tej nocy dziewczyna przestała szlochać, a kilka tygodni później wyjechała.

Charlotte Kankle przeniosła się potem do innego pokoju – po wdaniu się z Katie w bójkę, to właśnie nad nią odniosła jedno z dwóch zwycięstw – i teraz, w sali 3C, miała współlokatorki, które, musiała to przyznać, mogły okazać się całkiem w porządku. Idlewild było szkołą z internatem ostatniego ratunku, miejscem, w którym rodzice upychali przynoszące wstyd, niegrzeczne, krnąbrne pociechy. Ukryte w odludnych lasach stanu Vermont, liczyło jedynie sto dwadzieścia uczennic: nieślubnych córek, córek z pierwszych małżeństw, córek służących, małych imigrantek, dziewczynek, które nie potrafiły się dobrze zachować i dobrze uczyć. Większość walczyła i nie ufała sobie nawzajem, ale Katie, jakby odwrotnie, czuła, że tylko one mogły ją zrozumieć. Tylko one potrafiły ze znużeniem wzruszać ramionami, gdy opowiadała, ile razy uciekała z domu.

Pewnego razu, już w czasie ciszy nocnej, usiadła na łóżku i zaczęła grzebać pod poduszką w poszukiwaniu zachomikowanej tam paczki papierosów. Był październik, krople zimnego jesiennego deszczu upstrzyły jedyne okno w pokoju. Postukała w pryczę wyżej.

– CeCe.

– O co chodzi? – CeCe nie spała. Katie poznała po rytmie jej oddechu.

– Chcę ci opowiedzieć historię o duchach.

– Naprawdę? – Gdy CeCe wychyliła się zza krawędzi swojego łóżka i spojrzała na Katie z góry, po pomieszczeniu poniosł się cichy szelest pościeli. – O Mary Hand?

– O nie – sprzeciwił się głos z górnej pryczy po drugiej stronie pokoju. – Tylko nie kolejna opowieść o Mary Hand.

– Ciii, Roberta – uciszyła ją CeCe – bo obudzisz Sonię.

– Nie śpię – odezwała się spod kołdry leżąca pośladkami niżej od Roberty Sonia. Kiedy była rozespana, jej francuski akcent zdawał się wyraźniejszy. – Jak mam spać, kiedy wszystkie gadacie?

Katie klepnęła w paczkę i z środka wyskoczył papieros. Wszystkie cztery dziewczyny miały po piętnaście lat. W Idlewild już od dawna grupowano uczennice w tym samym wieku, bo starsze lubiły gnębić młodsze współlokatorki.

– W moim podręczniku do łaciny jest coś o Mary Hand, patrzcie – powiedziała.

Wyjęła spod łóżka książkę – która miała z kilkadziesiąt lat i była niemal zbutwiała – oraz małą latarkę. Latarki były w Idlewild zabronione, ale uczennice lekcewały tę zasadę. Katie złapała pewnie podręcznik i szybko go przewertowała, odnajdując poszukiwaną stronę.

– Widzicie? – zapytała.

CeCe zesza z pryczy na podłogę. Miała największe piersi z całej czwórki, więc zabrała ze sobą koc i skrepowana, zarzuciła go na ramiona.

– Och – jęknęła, patrząc na oświetlaną przez Katie stronę. – Mam takie coś w książce do gramatyki. A przynajmniej podobne.

– Co to jest? – Roberta dała się wywabić z łóżka, spod rąbka przykrótkiej koszuli nocnej wystawały jej zgrabne łydki. Ciemnoblonde włosy miała zaplecione w zwisający na plecy warkocz. Wylądowała na podłodze z głośnym plaśnięciem i zerknęła nad ramieniem CeCe.

Katie usłyszała, jak bierze głęboki wdech.

Przy krawędzi strony, na marginesie, widniała napisana ołówkiem wiadomość.

Widziałam Mary Hand przez okno sali 1G w Clayton Hall.

Oddalała się przez boisko.

Środa, 7 sierpnia 1941 roku. Jenny Baird.

Spoglądając na ten komunikat, Katie doznała ulotnego, niepokojącego uczucia, nagłego impulsu strachu, którego nie zamierzała okazywać. Wszyscy wiedzieli o Mary Hand, ale ta skreślona ołówkiem informacja w jakiś sposób czyniła ją bardziej realną.

– To nie żart, prawda? – raczej stwierdziła, niż spytała.

– Nie, to nie żart – potwierdziła CeCe. – W mojej książce do gramatyki jest napisane: *Toaleta, trzecie piętro, skraj zachodniego skrzydła, widziałam tam Mary*. Napisane w 1939.

– To wiadomość. – Tym razem odezwała się Sonia, która także wstała i spoglądała na podręcznik znad ramienia Roberty. Wzruszyła ramionami i cofnęła głowę. – Też takie widywałam. Chyba nigdy nie kupują tu nowych podręczników.

Katie ponownie przewróciła zatechle kartki. Na pierwszej stronie widniała data wydania, 1919, rok otwarcia Idlewild Hall. Próbowowała wyobrazić sobie szkołę w tamtych czasach: nowiusieńki gmach, nowiusieńkie mundurki, nowiusieńkie podręczniki. Teraz, w 1950 roku, Idlewild wyglądało, jakby przeniosło się w czasie, jakby nie słyszano tu o bombie atomowej, *Texaco Star Theatre* czy telewizji. Na swój osobliwy sposób to, że tutejsze uczennice przekazywały swe mądrości z pokolenia na pokolenie na marginesach starych książek, obok list bitew wojny o niepodległość czy składu chemicznego jodyny, miało sens. Nauczyciele nie zaglądali do podręczników, a tych nigdy nie wyrzucano. Jeżeli chciałaś ostrzec dziewczyny z przyszłości przed Mary Hand, to książki idealnie się do tego nadawały.

Przez okno sali 1G, w Clayton Hall. Katie odpaliła papierosa za pałką.

– Nie powinnaś – powiedziała bez większego przekonania Roberta. – Susan Brady poczuje i zgotuje ci piekło.

– Susan Brady śpi – odparła Katie.

Susan Brady była dyżurną trzeciego piętra i traktowała swe obowiązki bardzo poważnie, przez co nikt jej nie lubił.

Katie wyłączyła latarkę, cztery dziewczyny otoczyła ciemność. Roberta zrzuciła na podłogę poduszkę i oparła się plecami o wąską komodę. Sonia cicho podeszła do okna i uchyliła je, żeby dym miał drogę ucieczki.

– Więc? – zwróciła się CeCe do Katie. – Widziałas ją?

Katie wzruszyła ramionami. Pożałowała, że wyciągnęła ten temat; знаła dziewczyny, ale nie na tyle, żeby im zaufać. Kolejne spojrzenie na napisaną ołówkiem wiadomość wzbudziło w niej niepokój. Tak naprawdę nie miała pewności, co się jej przytrafiło, i chciałyby, aby było to coś równie prostego, jak ujrzenie ducha Idlewild w łazience. Czasami jej wspomnienia były tak bardzo realne, jednak ubranie ich w słowa zdawało się niemożliwe. Przelknęła ślinę i zmieniła temat.

– Myślicie, że naprawdę też się tu uczyła? – zapytała współlokatorki.

– Tak słyszałam – odpowiedziała Roberta. – Mary Van Woor-ten z drużyny hokeja na trawie mówi, że Mary Hand umarła pewnej zimowej nocy, gdy została zamknięta na zewnątrz szkoły i się zgubiła.

– To musiało być wieki temu. – CeCe wgramoliła się na pryczę obok Katie i oparła poduszki o zagłówek. – Słyszałam, że nocami puka w szyby i chce wejść do środka. Że błaga dziewczyny, aby wyszły na zewnątrz i gdzieś za nią poszły, a jeżeli jej nie posłuchają, umierają.

Z CeCe Katie mieszkała najdłużej i wiedziała o niej najwięcej, ponieważ przypominała otwartą książkę. Była nieślubną

córka bogatego bankiera i pokojówki, przez większość życia wyprawianą do kolejnych szkół z internatami. Co zadziwiające, nie czuła do ojca urazy i była blisko z matką, obecnie gosposią u jakiejś rodziny w Bostonie. Opowiedziała o tym Katie już podczas pierwszego spotkania, wieszając na haczyku mundurek z herbem szkoły i odkładając kij do hokeja.

– Czasami, kiedy pośród drzew hula wiatr, można usłyszeć, jak śpiewa – dodała Roberta. – Kołysankę albo coś takiego.

O tym Katie nie wiedziała.

– Słysząc, jak śpiewa?

Roberta wzruszyła ramionami. Była w Idlewild dopiero kilka miesięcy, podczas gdy pozostałe dziewczyny przebywały tam od przynajmniej roku, a Sonia od trzech. Roberta była inteligentna i miała sport we krwi, lecz nie lubiła dużo mówić. Nikt nic nie wiedział o jej domu i rodzinie. Katie nie potrafiła rozgryźć, co Roberta robi w takim miejscu, ale po skrytym spojrzeniu, które nie raz dostrzegła w jej oczach – owym spojrzeniu wycofania, jak gdyby obserwowała świat zza jakiegoś muru, typowym dla wielu uczennic Idlewild – zgadywała, że musiał być jakiś powód.

– Sama nigdy nie słyszałam, a trenuję tam cztery razy tygodniowo.

Po tych słowach, jak to miała w zwyczaju, zwróciła się do Sonii:

– A ty co myślisz, Soniu?

O ile CeCe można było rozczytać najłatwiej, o tyle Sonię wręcz przeciwnie. Błada, szczupła, cicha, przeskakująca pomiędzy kolejnymi klikami i kręgami towarzyskimi, zdawała się oderwana od wszystkiego, co ją otacza, w stopniu niespotykanym nawet w Idlewild. Była francuską imigrantką, a po wojnie, na której tak wiele dziewcząt straciło ojców oraz braci albo mieszkało z mężczyznami złamanymi pobylem w obozach, nikt nie pytał ją o przeszłość. Przebywała w szkole najdłużej z nich wszystkich.

Zdawała się absolutnie niezależna, jak gdyby wystarczało jej to, co dzieje się w jej głowie. Z jakichś powodów Roberta, która była przecież żywa, gibka i pełna gracji, dała się oczarować Sonii i często przebywała u jej boku. Wyglądały razem tak lekko i swobodnie, że i Katie zapragnęła do nich dołączyć. Ona przy nikim się tak nie czuła. Zawsze otaczały ją wielbicielki, ale nigdy przyjaciółki.

Sonia pochwyliła wzrok Katie i wzruszyła ramionami, nawet w prostej białej koszuli nocnej gest ten wydawał się opanowany i taki europejski.

– Nic mi po duchach – rzekła ze swym słodkim, melodyjnym akcentem. – Ale, jak my wszystkie, słyszałam, że nosi czarną suknię i woal na twarzy, co wydaje mi się dość dziwnym strojem jak na łożenie po śniegu. – Jej przenikliwemu wzrokowi, który pośród mroku padł na Katie, nic nie umykało. – Widziałas coś, prawda?

Katie przeniosła spojrzenie na trzymanego w palcach papierosa, o którym zdążyła zapomnieć.

– Słyszałam ją – odparła.

Zgasiła papierosa o rewers mosiężnego medalu, który w pokoju zostawiła jakaś drugoklasistka, i przygniotła niedopałek kciukiem.

– *Słyszalas?* – dopytała CeCe.

Katie wzięła głęboki oddech. Zawsze gdy rozmawiała o Mary Hand, miała dziwne wrażenie, że mówi o jakimś sekrecie rodzinnym. Opowiadanie bajek o duchach nocą to jedno, a sytuacja, w której otwierasz szafkę w szatni przed gimnastyką, a coś na powrót ją zamyka, drugie. Zdarzały się jakieś drobiazgi, poczucie, że ktoś cię obserwuje, albo nagły powiew zimnego powietrza na korytarzu, co do którego nie masz pewności, czy nie był tylko owocem twojej wyobraźni, więc nie chcesz o nim mówić, żeby się nie ośmieszyć. Ale to było coś innego i Katie czuła potrzebę powiedzenia o tym na głos.

– Zdarzyło się to na dziedzińcu, na ścieżce za stołówką.

Dziewczynki skinęły głowami. Główne zabudowania Idlewild tworzyły kształt litery U, otaczały pełen nieprzystryżonych drzew oraz zachwaszczonych, wyłożonych kamieniami ścieżek dziedziniec.

– Ta część mnie przeraża – powiedziała CeCe. – Ta obok ogrodu.

Katie także przerażała. Nikt nie lubił ogrodu, pomimo że program nauczania obejmował cotygodniowe zajęcia z ogrodnictwa, kiedy to uczennice niechętnie ryły w wilgotnej, śmierdzącej zgnilizną ziemi. Nawet nauczycielki omijały ogród szerokim łukiem.

– Po kolacji wymknęłam się na papierosa i zeszłam ze ścieżki, żeby nie zobaczyła mnie pani Peabody. Wiecie, że ona też tam pali, choć nie powinna. Stałam pod tym wielkim klonem i coś poczułam. Ktoś tam był.

CeCe pochyliła się do przodu w napięciu.

– Ale nic nie widziałas?

– Usłyszałam głos – wyjawiała Katie. – Naprawdę, nie przesłyszało mi się. Tuż obok, jakby ktoś stał koło mnie. Słyszałam bardzo wyraźnie.

Dobrze pamiętała tę chwilę pod rozłożystym drzewem, na ziemi wyściełanej klonowymi noskami, gdy tuż za prawym uchem usłyszała czyjś głos. Papieros wypadł jej z dłoni, a włosy na karku stanęły dęba. Idlewild było starym miejscem, tamtejszy lęk także był stary. Do tego momentu Katie wydawało się, że rozumie strach, ale gdy usłyszała ten głos, pojęła, że oto stanęła wobec strachu starszego i większego niż wszystko, co mogła sobie wyobrazić.

– No i? – ponagliła ją Roberta. – Co powiedziała?

Katie odchrząknęła.

– Nie ruszaj się.

Na chwilę wszystkie zamilkły.

– O Boże – szepnęła CeCe.

Co dziwne, Katie patrzyła na Sonię. Ta siedziała na podłodze, oparta o ścianę pod oknem, z podciągniętymi pod brodę kolanami i udami przyciśniętymi do piersi. Była nieruchoma, skąpana w cieniu. Katie nie wiedziała, czy Sonia na nią patrzy. Gdzieś z oddali dobiegł odgłos zatrzaskiwanych drzwi, a następnie kapanie – jakby kropli spadającej z ciekącego dachu.

– Dlaczego? – zapytała Sonia z miękkim francuskim rytmem. – Dlaczego to powiedziała?

Ramiona Katie podskoczyły gwałtownie, poderwane nagłym skurczem mięśni, lecz pozostałe dziewczynki nie mogły tego dojrzeć w ciemności.

– Nie wiem – odparła krótko i ostro, lecz po chwili załagodziła ton. – Tyle usłyszałam. Nic więcej.

Kłamstwo, wierutne kłamstwo. Ale skąd jakiś stary duch w ogóle wiedział?

Nie ruszaj się. Nie potrafiła o tym rozmawiać. Z nikim. Jeszcze nie.

– I co zrobiłaś? – zapytała Roberta.

To łatwiejsze pytanie.

– Uciekałam jak diabli.

Tylko opierająca się o zagłówek CeCe cmoknęła z dezaprobatą na dźwięk przekleństwa. Była dość sztywna jak na nieślubną córkę.

– Też bym uciekła – przyznała. – Widziałam raz małego chłopca. U Ellesmerów. – Ellesmerowie to rodzina jej bogatego ojca, CeCe nie otrzymała ich nazwiska. – Pewnego dnia, gdy mama pracowała, bawiłam się w ogrodzie za domem. Podniosłam wzrok i w oknie na piętrze dojrzałam małego chłopczyka, patrzył na mnie. Pomachałam mu, ale ani drgnął. Gdy zapytałam o niego mamę i dlaczego nie pozwalają mu wyjść na podwórko, zrobiła bardzo dziwną minę. Powiedziała, że coś mi się przywidziało i żebym już nigdy o nim nie mówiła, zwłaszcza przy Ellesmerach. Później już go nie widziałam, ale ciągle się zastanawiam, kto to był.

– Mnie babcia opowiadała o duchu ze strychu – zaczęła Roberta. – Trząśł wszystkimi meblami i robił rejdach. Mówiła, że zdarzały się noce, kiedy leżała w łóżku i słuchała przesuwania kufrów i szafek po podłodze. Mama powtarzała, że babcia to starsza pani i chce zwrócić na siebie uwagę, ale pewnego lata spędziłam u niej dwa tygodnie i też go słyszałam. Dokładnie tak, jak mówiła babcia – odgłosy przesuwanych mebli, podnoszenia i stawiania starej mosiężnej lampki, podnoszenia i stawiania... Rano zapytałam ją, czy to duch dziadka, ale ona spojrzała na mnie i rzekła: „Nie, moja droga. To coś znacznie gorszego”. – Roberta zawiesiła głos. – Już tam nie wróciłam. Babcia zmarła w Boże Narodzenie tamtego roku, a mama sprzedała dom.

– A ty, Soniu? – zapytała CeCe. – Widziałaś kiedyś ducha?

Sonia wyprostowała swoje szczupłe nogi, wstała i zamknęła okno. Chłodny przeciąg zniknął, ale Katie nadal drżała.

– Martwi nie żyją – stwierdziła Sonia. – Nic mi po duchach.

Katie obserwowała jej sylwetkę pośród mroku. Słowa Sonii zabrzmiały lekceważąco, ale przecież nie powiedziała, że nie wierzy w duchy. Ani że żadnego nie widziała. Ani że nie istnieją.

Wiedziała, tak jak pozostałe.

Na szybie znowu pojawiły się krople deszczu. *Nie ruszaj się*, powtórzył głos w głowie Katie. *Nie ruszaj się*. Objęła się z całych sił rękoma i zamknęła oczy.

rozdział 3

Barrons, Vermont

Listopad 2014 r.

– Jonas – rzuciła Fiona, wchodząc następnego ranka do ciasnej redakcji „Lively Vermont”. – Wiedziałeś, że odnawiają Idlewild Hall?

W głównym pomieszczeniu panowała cisza, ale drzwi do gabinetu Jonasa były uchylone i wiedziała, że siedzi w środku. Jak zawsze. Minęła biurka, każde innej proveniencji, oraz zaśmiecające redakcję kartonowe pudła i skierowała się do jedyne prywatnego biura w całej gazecie, pieczary jej właściciela i zarazem redaktora naczelnego.

– Czy to ty, Fiono Sheridan? – dobiegło z środka. – Nie widziałem cię ładnych parę dni.

Stała w drzwiach i spojrzała na niego. Pochylał się nad biurkiem i wpatrywał w wydruk jakiejś fotografii. Za jego plecami stał wygaszony, zapomniany komputer. Cały Jonas.

– W takim razie to chyba dobrze, że dla ciebie nie pracuję – odparła.

Podniósł wzrok.

– Jesteś freelancerką, ale trochę jakbyś pracowała.

Fiona uśmiechnęła się pod nosem.

– Nie, jeżeli chodzi o ubezpieczenie.

Siedział z kamienną miną, ale wiedziała, że się z nią droczy.

Jonas Cooper miał koło pięćdziesiątki, jego przetykane siwizną ciemne włosy opadały z czoła ku tyłowi, tworząc eleganckie, imponujące skrzydła, a brwi rzucały cień na głębokie zielone oczy. Ubrany był w rozpiętą pod szyją koszulę w czerwono-czarną szachownicę, założoną na podkoszulek z piki. Kupili z żoną „Lively Vermont” ponad dekadę temu i od zeszlórocznego rozwodu starali się utrzymać gazetę na powierzchni.

– Masz dla mnie jakiś artykuł? – zapytał.

– Nie – rzuciła Fiona. – Dałam ci jeden w piątek, powiedziałeś, że rozsadził budżet.

– Bieżącego numeru, owszem. Ale zawsze jest następny.

Jeszcze, pomyślała. „Lively Vermont” należało do nielicznych lokalnych czasopism, dla których pisała, i walczyło o przetrwanie z równym mozołem jak pozostałe.

– Co to? – Wskazała na zdjęcie.

– Miejskowa fotografka – odpowiedział. Ponownie spojrzął na wydruk i wzruszył ramionami. – Mieszka w East Charlotte. Zdjęcie nie jest złe. Mógłbym wokół niego sklecić jakiś artykuł, gdyby tylko znalazł się autor.

– Nie. Nie ma mowy.

– A dlaczego nie? – Jonas rozparł się na starym krześle biurowym i rzucił zdjęcie na stertę papierów.

– Bo niedawno skończyłam tekst o serze rzemieślniczym. To mój funt mięsa na ten miesiąc.

Jonas rzucił jej spojrzenie mówiące: *I tak wiem, że kłamiesz*. Miał rację. Fiona brylowała w pisaniu pierdół – nie aspirowała do wielkiego dziennikarstwa. Nie miała ochoty pisać o żadnej fotografce, bo fotografowie zawsze wypytywali ją o ojca.

– Zastanów się – powiedział. – Gdyby zgrabnie wyszło, to może wygrzebałbym spod kanapy jakieś zaskórniaki. A co tam krzyczałaś, kiedy weszłaś?

Fiona poczuła, że serce zaczyna bić jej szybciej, jakby miała zapytać o coś zakazanego.

– Idlewild Hall. Słyszałam, że ma zostać odrestaurowane.

Jonas nabrał czujności, ale pokiwał głową.

– Nowy właściciel.

– Co za jeden?

– Jedna. Margaret Eden. Małżonka świętej pamięci rekina inwestycji, Josepha Edena. Mówi ci coś to nazwisko?

Mówiło, kojarzyło się z krachem 2008 roku. Widziała twarz tego gościa w wiadomościach.

– I co, kupił sobie tę nieruchomość?

– Nie. Umarł i żona kupiła. Chyba przyjeżdża z Nowego Jorku, żeby mieć oko na remont.

Z jakiegoś powodu Fionę ubodło, że Jonas o tym wiedział.

– Ta ziemia należała do Christopherów od dziesięcioleci – oświadczyła. – Nawet po zamknięciu szkoły w 1979. Nikt mi nie powiedział, że poszła pod młotek. Albo że będą odnawiać Idlewild.

Przez twarz Jonasa przemknął wyraz współczucia.

– Nie chciałem wyskakiwać przed szereg – wyjaśnił łagodnie. – A poza tym, jak do tej pory, tylko plotkowano o odnowieniu. Nie sądziłem, że ktoś na serio się za to weźmie.

– Cóż, najwyraźniej się biorą. Zeszłej nocy widziałam znaki budowlane na ogrodzeniu.

Jonas zamilkł. W 1994 roku jeszcze tu nie mieszkał – wprowadził się dopiero po zakupieniu czasopisma – ale wiedział o morderstwie Deb, o jej porzuconych w Idlewild zwłokach, o odsiadce zasądzonej dla Tima Christophera. Wszyscy wiedzieli. W Barrons nie istniało coś takiego jak prywatność, a już na pewno nie dla krewnych ofiary najgłośniejszego morderstwa w okolicy. Nawet Jonas miał świadomość, że w odwiedzaniu tego miejsca przez Fionę jest coś niezdrowego.

– Nie komentuj – ostrzegła go. – Nic nie mów.

Uniósł dłonie w geście niewinności.

– Hej, to twoja sprawa. Ja tylko prowadzę czasopismo.

Spoglądała na niego przez dłuższą chwilę, jej krew znowu napełniła się nerwową energią z zeszłej nocy.

– Naprawdę chcesz, żebym napisała jakiś artykuł? – zapytała. – Poważny tekst?

– Dlaczego mam wrażenie, że jeżeli odpowiem „tak”, to pożałuję?

– Idlewild – oświadczyła. – O tym napiszę. Zrobię wywiad z Margaret Eden. Obejrzę plany szkoły. Obejdę nieruchomość, zrobię zdjęcia, wszystko.

– Jezus Maria – jęknął Jonas. – Sam nie wiem.

– Pójdę w lokalny koloryt – odrzekła, czując rumieniec wstępujący na policzki. – Nowa szkoła, remont, praca dla miejscowych. Nikt inny tego nie opisz. Będzie lepsze niż tekst o fotografce. Czy nie tego oczekujesz po „Lively Vermont”? – Spojrzała mu prosto w oczy. – Nie mam z tym problemu, Jonas. Przysięgam, że wszystko gra.

Ulżyło jej, gdy zobaczyła, że z jego oczu znika baczna czujność, a górę bierze redaktorska dusza. Razem z byłą żoną, Emily, kupili czasopismo, bo uchodziło za niezależny jankeski *think-tank*, ale pod jej kierownictwem przerodziło się w bezzębne pisemko lifestyle’owe pokroju tych, które drukują reklamy świeczek po osiemdziesiąt dolców i ręcznie robionych koców za pięć tysięcy. Jonasowi nigdy się to nie podobało – chciał czegoś więcej i właśnie dlatego nadal dawał robotę Fionie, licząc, że wykaże się dziennikarskim zacięciem słynnego ojca.

– Przyznaję, że to ciekawe, ale nie mam budżetu na taki duży artykuł.

– Napiszę na własne ryzyko – rzekła. – Sama zrobię zdjęcia. Jeśli nie chcesz, to nawet nie musisz kupować tego tekstu. Pozwól mi tylko powołać się na „Lively”, gdy będę dzwoniła do Margaret Eden. Łatwiej się do niej dobiore.

– Rozumiem. A co za to dostanę?

– Prawo pierwokupu.

Redaktor dumiał nad jej propozycją i w końcu straciła cierpliwość.

– No daj spokój, Jonas. Wiesz, że to dobry układ.

Wyglądał, jakby chciał dać się przekonać, ale zapytał:

– To nie wszystko, prawda?

– Prawda – odparła Fiona, wypuszczając powietrze z płuc. – Chcę zacząć od historii tego miejsca. Dopuścisz mnie do archiwów?



Pierwszy numer „Lively Vermont” wyszedł w 1969 roku i został powielony na fotokopiarce. Wszystkie numery były przechowywane w szeregu pobrudzonych drewnianych szafek na akta, które podążały za redakcją przy każdej przeprowadzce. Obecnie stały przy tylnej ścianie biura, ktoś zostawił na nich talerz ze skamieniałą resztką pączka i kubek lodowatej już kawy.

– Wiesz, mogłabyś pójść do biblioteki – zagadnął Jonas sceptycznie, gdy Fiona zaczęła otwierać najstarsze szuflady. – Mają tam więcej o Idlewild niż my.

– W bibliotece wszyscy mnie znają – odparła.

Stare numery miały zapach stęchlizny, który wprawiał Fionę w dobry nastrój.

– Kiedy dowiedzą się, za czym węszę, nici z tajemnicy.

Miała rację. Słynny dziennikarz Malcolm Sheridan był lokalną legendą Barrons, z kolei rude włosy Fiony, jego ostatniej żyjącej córka, rzucały się w oczy. Personel biblioteki w Barrons był pomocny, ale bardzo nieliczny, a ze względu na wiele wizyt badawczych na przestrzeni lat każdy ją tam znał.

– Niech będzie – powiedział Jonas. – A w zasadzie czemu to ma być tajemnica? Chyba mi nie powiesz, że dziennikarze zabijają się o ten temat.

Zerknęła na niego przez ramię.

Odwzajemnił spojrzenie.

– Nigdy nie spotkałem dziennikarza, który bałby się bibliotekarzy.

– Nigdy nie spotkałeś dziennikarza z taką historią rodzinną jak moja – odpowiedziała Fiona, próbując nadać słowom lekki, swobodny wydźwięk. – Nie znoszę plotek. Znajdę inne źródła, zwłaszcza w sieci.

Gdy wyciągała akta z lat 1969-1979, za jej plecami panowała cisza.

– Jeżeli chcesz znaleźć więcej źródeł, to powinnaś szukać u ojca – podpowiedział w końcu. – Doskonale o tym wiesz.

– Wiem. – Fiona z hukiem zatrasnęła szufladę. – I tak zamierzam go wkrótce odwiedzić. Popytam.

– Świetnie. Tylko zwróć moje archiwa w nienaruszonym stanie. I... Fiona... – Jonas wzruszył ramionami. – Jak mówiłem, to twoja sprawa, ale wielokrotnie natkniesz się na nazwisko Christopher. To nieuniknione.

Miał rację. Zanim ich syn poszedł do więzienia za morderstwo, Christopherowie byli najbogatszą i najbardziej prominentną rodziną w Barrons. Istniało wysokie prawdopodobieństwo, że w trzymanyh przez nią teczkach pojawi się coś o rodzicach Tima. Ale gdy trzeba było, potrafiła przechodzić nad takimi sprawami do porządku dziennego.

– Tak jak mówiłam – zwróciła się do Jonasa – w porządku.

Redaktor wyglądał, jakby chodziło mu po głowie coś jeszcze, ale powiedział tylko:

– Pozdrów ode mnie ojca.

– Pozdrowię.

Malcolm Sheridan był dziennikarskim idolem Jonasa, więc to właśnie dzięki podziwowi dla jej ojca ciągle miała robotę w „Lively Vermont”.

– Będziemy w kontakcie – rzuciła na odchodnym, pomachała teczkami i ruszyła ku drzwiom.

Dzień był wietrzny i szary, słońce walczyło o kawałek przestrzeni pomiędzy chmurami. Liście straciły żywe, soczyste szaty, przybrały wyblakłe barwy i w większości pozęgnały się już z drzewami.

Przed wskoczeniem do samochodu Fiona zrzuciła kilka liści klonu, które wiatr zagnał na przednią szybę.

Odpalając silnik, przelotnie zerknęła na swoje odbicie w tylnym lusterku – rude włosy, orzechowe oczy, jasna cera, załączki kurzych łapek, świadczących o tym, że ma już trzydzieści siedem lat – po czym odwróciła wzrok. Prawdopodobnie powinna zacząć przykładać większą wagę do makijażu. Prawdopodobnie powinna wzbogacić garderobę o coś innego niż džinsy, trapeiry i pikowana kurtka na zamek, przynajmniej gdy zima uderzy z pełną mocą. Rzuciła teczki na fotel pasażera i ruszyła do centrum Barrons.

W miasteczku wznosiło się kilka dobrze zachowanych zabytkowych budynków, które swego czasu przyciągały turystów, a wokół mieszkała uboga ludność, licząca, że ci sami turyści nie zauważą jej walących się werand i piętrzących się na podjazdach stosów drewna opałowego. Fiona minęła pokryty silingiem budynek biblioteki, a kilkaset metrów dalej wymalowaną sprejem reklamę jesiennych dyni, choć przecież Halloween było kilka tygodni temu. Przejechała przez plac w centrum, przejechała obok starego ratusza i ruszyła New Street w stronę posterunku policji.

Stanęła na niewielkim parkingu przed komisariatem, podniosła stertę teczek z fotela. W pobliżu nikogo nie było, wokół przysadzistego kwadratowego budynku, postawionego w latach siedemdziesiątych, kiedy to Barrons w końcu rozrosło się

na tyle, by zasłużyć na własne siły policyjne, panował bezruch. Pod rosnącymi przed posterunkiem starymi dębami stały dwa stoły piknikowe. Fiona usiadła na jednym z nich, oparła stopy na ławce i wyciągnęła telefon. Napisała do Jamiego: *Jesteś tu?*

Kazał jej czekać całe pięć minut. Zaczęła wertować pierwszą teczkę, gdy w końcu odpisał: *Wychodzę.*

Schowała komórkę do kieszeni i wróciła do teczki.

Nie śpieszył się, i to celowo – wciąż był zły za zeszłą noc – ale ostatecznie frontowe drzwi posterunku otworzyły się na oścież i z środka wychynął Jamie w zarzuconej na mundur jesiennej kurtce z kapturem.

Fiona wbiła w niego wzrok. Musiała przyznać, że trudno było go odwrócić. Jamie Creel z policji Barrons, syn i wnuk szefów policji stanu Vermont, miał ciemnoblonde włosy, ciemnoniebieskie oczy i kilkadziesiąt centymetrów zarost barwy miodowego złota. Był młodszy od Fiony – i to aż o osiem lat – a teraz szedł sobie swobodnie pod wiatr, opatulony ciepłą kurtką.

– Byłeś zajęty? – zapytała, gdy się zbliżył.

Wzruszył ramionami.

– Pisałem raporty.

Zdjął czapkę i wiatr natychmiast podjął próby zwichrzenia mu włosów. Przystanął kilkadziesiąt centymetrów od stolika, z rękami w kieszeni, na szeroko rozstawionych nogach, jakby czegoś wyczekiwał.

– Przyjechałam przeprosić – zaczęła.

Uniósł brwi.

– Za co?

– Za to, że cię w nocy wystraszyłam. Za to, że wyszłam.

Zmrużył powieki.

– Tak naprawdę wcale nie jest ci przykro – zauważył spokojnie.

– Ale i tak przepraszam – powiedziała, wytrzymując jego spojrzenie. – Szczerze. Okej?

Nie odpowiedział, za to wskazał gestem na leżące na jej kolanach teczki, które przytrzymywała dłonią, żeby nie odfrunęły z wiatrem.

– Co to?

– Akta „Lively Vermont”. Badam historię Idlewild Hall.

Jamie stanął w luźniejszej pozycji i podrapał się po twarzy.

– Ma to coś wspólnego z minioną nocą, prawda? Fiona, daj spokój.

– Nie robię nic złego – zaprotestowała. – Zamierzam napisać artykuł.

– O Idlewild?

– O remoncie, o nowej szkole. – Obserwowała bacznie jego twarz. – To dobry pomysł.

– Może dla kogoś innego. Ale dla ciebie?

– Nie martw się, jestem dużą dziewczynką. Dam sobie radę.

– W nocy nie dałaś. Zachowywałaś się, jakby ci oduło – odparł.

To rzeczywiście *było* dziwne doświadczenie, ale nie żałowała. Wycieczka na Old Barrons Road w pewien sposób ją otrzeźwiła. Idlewild od dawna milcząco majaczyło w zakamarkach jej umysłu, stało się mrocznym elementem wystroju jej mózgu. Przez dwadzieścia lat robiła, co mogła, żeby o nim nie mówić, ale teraz uznała, że „wygadanie się” będzie czymś jak upuszczenie krwi – bolesne, ale i konieczne.

– Dziś już mi lepiej – oznajmiła i poklepała blat stołu obok siebie. – Chodź, siadaj.

Westchnął ciężko, ale podszedł do stołu. Fiona doznała surrealistycznego wrażenia, które czasami ją nachodziło, gdy patrzyła na Jamiego, nawet po takim czasie. Rok temu miała fatalny wieczór – męczyła ją samotność, uzalała się nad sobą i odczuwała ból związany z Deb – trafiła do lokalnego baru, piła całkiem sama. Na taborecie obok usiadł Jamie – przystojny, umięśniony, cudownie zblazowany, wyglądał na gwiazdę uniwersyteckiej drużyny,

był jednak cichy i czujny niczym dzikie zwierzę. Fiona odłożyła drinka i patrzyła na niego cierpliwie, czekała na jakiś sztampowy podryw, ale on się nie śpieszył. Z namaszczeniem wziął tyk piwa, po czym położył kufel na ladzie i się przywitał. *Cześć.*

Kryło się za tym coś więcej, ale naprawdę powiedział tylko tyle – *cześć.* Dwie godziny później skończyli w jego łóżku, co mocno ją zaskoczyło, ale w pewien sposób pasowało do jej nastroju. Zakładała, że to przygoda na jedną noc, lecz on poprosił o jej numer. Kiedy zadzwonił, zamaskowała zaskoczenie i powiedziała „tak”. Gdy zadzwonił kolejny raz, również się zgodziła.

Nie miało to najmniejszego sensu. Gliniarz i dziennikarka – naturalni wrogowie; nie powinni mieć ze sobą nic wspólnego. I na wielu płaszczyznach nie mieli. Jamie nie przedstawił Fiony kolegom z pracy i nie zabrał jej na żadną „ imprezę firmową”. Nigdy nie wchodziła na komisariat, gdy chciała spotkać się z nim w godzinach pracy, czekała na zewnątrz. Raz spotkała się z jego rodzicami, odbyli chłodną rozmowę, która dobiegła końca po kilku minutach. Ona z kolei przywiozła go do domu i przedstawiła Malcolmowi, ale tylko dlatego, że ojciec nalegał. Zmartwił się, gdy usłyszał, że córka spotyka się z policjantem, choć nigdy nie wtrącał się w jej życie. Spotkanie było niezręczne, a ona nadal nie miała pojęcia, czy przypadli sobie do gustu.

A jednak praca Jamiego była jednym z powodów, dla których go lubiła, podobnie jak fakt, że urodził się w Barrons i miał to miasteczko we krwi. W każdym związku musiała pokonać tę uciążliwą przeszkodę, opowiedzieć o przeszłości, o Deb, powtarzać, co się wydarzyło i dlaczego. Większość mężczyzn starała się być wyrozumiała, ale Deb zawsze była *tuż obok*, stanowiła barykadę, z którą Fiona nie potrafiła się uporać. Jamiemu nie musiała nic wyjaśniać: już gdy zagadnął ją w barze, wiedział, kim jest – kiedy Deb została zamordowana, jego ojciec był szefem policji. Nie musiała mu nic tłumaczyć, bo wszystko wiedział.

Tak więc, pomimo różnych trudności, z Jamiem czuła się swobodnie i dla tej swobody gotowa była do poświęceń. Jamie był mądry i zabawny na swój spokojny sposób. Nie miała pewności, co on w niej widzi, i nie pytała. Może chodziło o seks – wyjątkowo dobry – a może o łączące ich koleżeństwo. Wiedziała jedynie, że wolałaby amputować sobie rękę zardzewiałą piłą niż wdać się w konwersacje pokroju: *Dokąd to wszystko zmierza?*

A teraz usiadł obok niej na stoliku piknikowym i skrzyżował długie nogi.

– Chodzi ci o coś innego – stwierdził kategorycznie. – Dawaj.

– Teren Idlewild – przyznała. Nie było sensu owijać w bawełnę. – Co o nim wiesz?

– To, co wszyscy.

– Kłamczuch. Wiesz wszystko. Zacznij od początku.

Ojciec i dziadek Jamiego szefowali policji w Barrons. Creelowie od dekad byli żywotnym elementem okolicznej społeczności, znali każdą rodzinę w miasteczku, od najbogatszej do najbiedniejszej. Fionie wydawało się to na swój sposób obce, dziwne. Jamie był zaangażowany w sprawy tego miejsca i miał inteligentny umysł, który nie zapominał żadnych szczegółów dotyczących miasteczka. Czekala więc, aż wydobędzie spośród swoich zwojów mózgowych informacje. Po chwili zaczęła mówić.

– Zobaczmy więc. Idlewild zostało zbudowane zaraz po pierwszej wojnie światowej, z tego, co wiem, dla dziewczynek, sierot po weteranach. W kolejnych latach zmieniali właściciele, a uczennic było coraz mniej i mniej. Christopherowie nabyli nieruchomości po zamknięciu szkoły, w 1979 roku.

Kiedy wymawiał nazwisko mordercy jej siostry, nawet na nią nie spojrzął, wiedziała więc, że dał się porwać własnej opowieści.

– W tym czasie Christopherowie kupowali ziemię jak opętani – ciągnął. – Chyba planowali przeistoczenie się w magnatów nieruchomości pełną gębą. Część ich nabytków przynosiła zyski, część nie. Idlewild zdecydowanie zaliczało się do drugiej kategorii.

– Dlaczego? – zapytała Fiona. Posiadała pewną wiedzę na ten temat, ale pozwoliła mu mówić.

Wzruszył ramionami.

– Każda ich próba kończyła się fiaskiem. Partnerzy biznesowi się wycofywali, fundusze znikwały. Nikt nie chciał z nimi współpracować. Od zawsze plotkowano, że szkoła jest nawiedzona, co brzmi głupawo, gdy mowa o interesach budowlanych, ale myślę, że Christopherowie się przeliczyli. Fakty są takie, że Idlewild od zawsze przerażało miejscowych. Tak naprawdę nikt nie chciał nawet zbliżyć się do tego miejsca. Christopherowie prowadzili inne interesy, dzięki którym stali się bogaci – czy też może powinienem powiedzieć: bogatsi – więc w końcu skupili się na nich i pozwolili Idlewild zarastać chwastami.

Fiona pamiętała Idlewild z czasów dorastania – dzieciaki bały, że spędziły tam noc, nastolatkwie zakładali się o wyprawy na teren szkoły po zmroku. Sama nigdy nie wierzyła w duchy i nie sądziła, aby inne dzieci wierzyły, ale porzucone zabudowania Idlewild Hall bez dwóch zdań wzbudzały niepokój. Wałący się portyk, dziki bluszcz zarastający okna i tym podobne rzeczy. Niemniej, pomimo całej swej upiorności, do czasu morderstwa było miejscem niewiele różniącym się od wszystkich innych.

– I wtedy zginęła Deb – odpowiedziała mu.

– I Christopherowie byli tu skończeni – stwierdził Jamie. – Czasy najważniejszej rodziny w Barrons dobiegły końca. Po zatrzymaniu Tima jego ojciec, Henry, zaczął niemal natychmiast zwijać i przenosić interesy. Sprzedali wszystko, co zdołali, i wynieśli się do Colorado, jeszcze zanim Tim został prawomocnie skazany. Z tego, co wiem, nadal tam mieszkają.

Fiona wpatrywała się we własne dłonie. Deb była taka podniekształcona, gdy zaczęła randkować z Timem Christopherem, wysokim, przystojnym, wywodzącym się z zamożnej, wpływowej rodziny chłopakiem. Deb nie czuła się szczęśliwa jako dziecko inteligencji z klasy średniej.

– Ale Idlewild nie sprzedali.

– Bo im się nie udało. Zabudowania są tak zniszczone, że straciły wszelką wartość, a ziemia też nie jest szczególnie cenna. Kryzys z 2008 na pewno nie pomógł. Kiedy napatoczył się ten kupiec, musieli się nieźle ucieszyć.

– Margaret Eden – wtrąciła Fiona. – Co to za jedna?

– Tego nie wiem. – Jamie uśmiechnął się przepraszająco. – Nie-tutejsza, jest z Nowego Jorku. Słyszałem, że to starszawa wdowa z mnóstwem kasy, tyle.

– Chcę się z nią spotkać.

– Ojciec mówi, że jest odludkiem. Wszystkie interesy prowadzi za nią syn.

– W takim razie chcę spotkać się z nim.

– Fee. – Jamie obrócił się do niej, wykręcając ciało tak, aby ją widzieć. Tracił ją przy tym kolanami, a ona próbowała nie spaść ze stolika. – Zastanów się nad tym – powiedział. – O nic więcej nie proszę. Po prostu się zastanów.

– Już to zrobiłam – odparła. Podniosła wyżej jedną z teczek.

– Chcę się dowiedzieć, dlaczego odnawiają Idlewild akurat teraz. Przecież to nie może być dobry biznes.

– Ludzie nadal wysyłają dzieci do szkół z internatami – stwierdził Jamie.

– U nas? Wiesz równie dobrze jak ja, ile wynoszą średnie zarobki w naszej części stanu. Kto niby wyśle dzieci do drogiej szkoły z internatem, i to takiej, której odbudowa pochłonie miliony? Margaret Eden nie może finansować wszystkiego sama. Jeżeli ma jakichś inwestorów, to kogo? Na czym chcą tu zarabiać?

Pieniądze mówią, zawsze było to jedno z dziennikarskich przykazań jej ojca. Ktoś gdzieś zawsze robi na czymś pieniądze.

– Uważasz, że dzieje się coś więcej...

– Uważam, że to miejsce jest finansowym bagnem. Może Eden zwariowała, a może ktoś ją wykorzystuje. Nie wydaje ci się to ani

trochę dziwne?

Zeskoczył ze stołu i stanął naprzeciw niej.

– Niech będzie – przyznał. – To dziwne. I prawdopodobnie to dobry temat na artykuł. I jak na razie nikt go nie podjął. – Patrzył na triumfalną minę, która pojawiła się na jej twarzy, i kręcił głową, ale z jego oblicza zniknęło napięcie oraz czujność, wiedziała, że dał się przekonać. – Daj mi znać, jak ci idzie, gdy już wytropisz Anthony'ego Edena.

– To jej syn?

– Tak. Mieszkają w domu przy Mitchell Place, w tym dużym narożnym. Mogłabyś wyniuchać to sama...

– Owszem, mogłabym. – odparła Fiona, mimowolnie uśmiechając się pod nosem. – Ale wydobywanie informacji z ciebie to lepsza zabawa.

– Muszę wracać – powiedział.

Złapał jej spojrzenie i wtedy pojawił się on, łączący ich prąd, chemia, która nigdy nie zniknęła. Fiona nabrała przemożnej ochoty, żeby go dotknąć, ale ktokolwiek obserwował ich z okien posterunku – a ktoś na pewno – nie dałby mu potem żyć.

– Zadzwoń później – wydusiła.

– Jeśli nie zapomnisz – skwitował.

Postąpił krok do tyłu, po czym odwrócił się i odszedł na posterunek, machając jej nad ramieniem. Gdy położył dłoń na klamce drzwi, przystanął na moment.

– Powiedz ojcu! – zawołał. – Nie pozwól, żeby dowiedział się od kogoś innego.

Po chwili zniknął w środku.